

Sztandary i demony

«Standards and Demons»

by Yuriy Andruchovych

Source:

Time of Culture (Czas Kultury), issue: 05 / 2003, pages: 030-034, on www.cceol.com.



Jurij Andruchowycz

Sztandary i demony

Ostatni raz przyłapałem się na tym bodaj wiosną. Oprócz nieuniknionego przebudzenia natury tegoroczna wiosna przyniosła nam dawno anonsowaną wojnę w Iraku. Któregoś wieczoru prawie bezmyślnie przełączałem kanały telewizji – na szczęście w tym brandenburskim przytułku dla wędrownych poetów nie jest ich aż tyle, by w końcu zwariować – wszystkich bodaj ze dwadzieścia. W MTV pokazywali najnowszy wideoklip Madonny „American Life”, trafiłem właśnie na początek i przestałem przeskakiwać kanały – nie dlatego, że aż tak lubię Madonnę, ale dlatego, że w jej tle pojawiały się, jedna za drugą, flagi państw z całego świata. Na początku myślałem, że będą to flagi antyirackiej koalicji, ale pojawienie się między nimi niemieckiej, francuskiej i, oczywiście, jakże by się bez tego mogło obejść – rosyjskiej, świadczyło o bardziej uniwersalnym podejściu. W ciągu trzech i pół minuty trwania wideoklipu z napięciem śledziłem flagi. Było to silniejsze niż moja trzeźwa drwina – bardzo chciałem ujrzeć wśród nich ukraińską i nic na to nie poradzę. Toż kiedy wreszcie, na jakąś część sekundy, tło teleekranu za plecami Madonny niedwuznacznie zablęsnęło niebieską i żółtą horyzontalną smugą (tak, tak, nie rumuńska, nie kolumbijska, nie wenezuelska i nie barbadoska, ale *nasza!*), odetchnąłem z ulgą: jesteśmy. Jesteśmy i z nami jest Madonna!

Był to pierwszy i wielce pocieszający wniosek. Następny wydawał się znacznie mniej optymistyczny – mimo wszystko jestem patriotą. Moja osobista wolność została zdeterminowana przez nader trwale uzależnienie, na które nie ma żadnej terapii. Cóż, wzrusza mnie ta symbolika, i to chyba już na zawsze.

Dziwne, ale bardzo przy tym nie lubię słowa „patriotyzm” ani jakichkolwiek pochodnych od niego, wolę używać ich

wyjątkowo – w sarkastycznej czy komicznej tonacji. Nie lubię patosu i, na ile mogę, pragnę go unikać, a używanie słów o takim wymiarze jak właśnie „patriotyzm” nieuchronnie do niego prowadzi. Natomiast podoba mi się dosyć czyjaś starsowiecka (czy nie marksowska?) definicja patriotyzmu jako „ostatniej przystani dla łajdaków”. Nie jestem pewny, czy to w istocie powiedział Marks i czy ja naprawdę dobrze to rozumiem. Bo ja rozumiem to tak, że każdy łajdak, przede wszystkim łajdak polityczny, odwołuje się do patriotyzmu jako do niby najwyższego przejawu moralności, by zamaskować tej moralności rzeczywistą nieobecność. Nie lubię patriotycznych pieśni, wierszy, marszów – ta niechęć pozostała we mnie jeszcze z czasów radzieckich, kiedy tego dobra było aż nadto wiele, a ja z wszystkich możliwych patriotyzmów najbardziej nie lubiłem radzieckiego z jego *patriotycznym wychowaniem* (i tych chóralnych śpiewów w przedszkolnym ogródku! I tych niekończących się lekcji wychowawczych, o pustym żołądku i z na siłę powstrzymywanym ziewaniem, w średniej szkole! I tych tysięcy uporczywych zebrań prowadzących do wzmożenia „aktywnej postawy obywatelskiej” w latach studenckich!). W wojsku szczególnie nienawidziłem, kiedy zmuszano mnie do śpiewania, podczas gdy ledwie powłóczyłem nogami. A zresztą nawet nie wiedziałbym, jak się zachować w razie prawdziwej wojny (z Amerykanami? z Chińczykami? z Mudżahedinami?), o której absolutnej konieczności nadejścia mówili nam każdego dnia komisarze: zginąłbym w pierwszej bitwie z powodu własnej nieporadności (całkiem możliwe, że oficjalne komunikaty poinformowałyby o tej śmierci jako heroicznej), dostałbym się do niewoli lub zdezerterował. Według mnie, to ostatnie wymagałoby największego męstwa – kryć się w jesiennych lasach, nocować w sianie, prosić o wodę i chleb podejrzliwych, natychmiast gotowych donieść na mnie wieśniaków... W każdym wypadku byłaby to nie moja wojna i nie o mój patriotyzm w niej by chodziło.

Fantastyczne i, być może, nie całkiem wykorzystane lata 1989–1991 przekształciły mnie na tyle, że raptownie zacząłem lubić *to* słowo. Właśnie wtedy odbywało się coś takiego, co doprowadziło do zmiany „parametrów patriotyzmu”. Powstawała bardzo rzadka jego odmiana – „patriotyzm przeciwko władzy”. I jeśli wcześniej to słowo było mi znane w połączeniu ze słowem „radziecki”, to w tamtych latach powstało coś na kształt „patriotyzmu antyradzieckiego”. Czyli ten inny patriotyzm, ucieleśniony przede wszystkim przez młodzież (szczególnie w modzie było noszenie znaczka z narodowymi barwami własnej ojczyzny), był nie tylko „znaczkowy”, ale i znakowy. Stanowił przede wszystkim wyraz niezgody wobec władz, wobec tego coraz bardziej pusto pobrzmiwającego, postarzałego reżimu. Pamiętam telewizyjne ujęcia w roku 1990 z buntu w jednym z najsurowszych więzień, jeśli się nie mylę, w Dniepropietrowsku. Zbuntowani zeki opanowali jeden z więziennych budynków i wysunęli cały szereg żądań dotyczących polepszenia więziennego reżimu (znowu to słowo!): jedzenia, traktowania przez personel, liberalizacji. Ujęcia, o których wspominam, zostały wykonane z helikoptera, krążącego nad budynkiem opanowanym przez więźniów. Operator

państwowej telewizji zapewne otrzymał mocny nakaz, by jak najwyraźniej pokazać, pod jakimi sztandarami odbywa się to nieposłuszeństwo. Na dachu ustawiono dwie flagi: błękitno-żółtą ukraińską i czarną z czaszką i skrzyżowanymi piszczelami, jako ogólnoswiatowy znak ludzi poza prawem, wszystkich na świecie piratów, rozbójników oraz batki Machna. Ani wtedy, ani tym bardziej dziś nie sądziłem i nie sądzę, że dniewopietrowskie zeki mieli jakiś szczególny sentyment do ukraińskiej idei narodowowyzwoleńczej. Ale oni wywiesili tę flagę obok własnej, bo wiedzieli, że ona także jest „przeciw władzy” i że gliny wsadzają za nią do pierdła (*katałażky*), a w czasie manifestacji dążą do tego, by ją pierwszą rozdrzeć na strzępy, zeszmacić.

Tym razem operator państwowej telewizji postarał się – obie flagi zostały pokazane z bliska i nadzwyczaj wyraziście. Tyle że ich dyskredytacja całkowicie się nie powiodła – przynajmniej w moim przypadku ta propagandowa sztuczka nie przeszła. Przeciwnie, byłem tymi kadrami wręcz uszczęśliwiony. Można było je odczytywać jako wielką metaforę naszego życia: ci więźniowie – to my wszyscy, obywatele ZSRR, więzienie – Związek Radziecki, flaga nad więzieniem – znak nadziei.

Gdzieś około roku 1992 moda na błękitno-żółte znaczki zaczyna przygasać. Wystarczyło Irwańcowi napisać w swoim jak zawsze paląco aktualnym wierszu: *Raptowo usi postawaly borciamy. / Usi z pidżakiw majorjat' praporciamy (Raptem wszyscy stali się bojownikami. / Ich marynarki migoczą proporcami)*, gdy wszystko się skończyło. Czy sprawa polegała na tym, że oni, przejąwszy w spadku władzę, a zatem i majątek, przejęli przy okazji nasz sztandar? Właściwie nie – jakie tam „przejęli”, żadnych batalistycznych scen, żadnej konnicy, żadnych ataków w pełnym galopie w rytm bojowych surm. Jeśli już posłużyć się historyczno-militarnym obrazem, to najszybciej takim, że oto potajemnie capnęli go w nocy z naszego obozu (nasi wartownicy jak zawsze popili się i niczego nie zauważyli) – a nuż się przyda do tych kombinacji wokół sprywatyzowanych rurociągów, kombinatów i stoczni?

W ten sposób jakoś urzeczywistniła się dawna uwaga nieznanego mi cynicznego historyka, że rewolucje (jeśli to była rewolucja, rzecz jasna) wymyślają romantycy, realizują fanatycy, a wykorzystują łajdaki. Tak, właśnie oni. I patriotyzm – to ich ostatnia przystań (*ostannij prytułok*), o czym zawsze pamiętamy.

Na dodatek ta płatanina pojęć – gdzież umieścić ów patriotyzm, jakie jest jego miejsce na pojęciowej mapie świata? Czy to w istocie coś takiego, co znajduje się na przeciwległej stronie, powiedzmy, kosmopolityzmu? I co to jest *patria*, i kim tak naprawdę jest nasz *Pater*? Bezwarunkowo pojawia się tu w całej swej krasie niezły łańcuszek – można przyrównywać patriotyzm do nacjonalizmu, a ten kolejno do faszystów, rasizmu, seksizmu i czego tam jeszcze. Patriotyzm jest szowinistyczny już chociażby dlatego, że nazywa się tak, jak się nazywa, a nie nazywa się „matriotyzm”. Dlaczego ów Ojciec obowiązkowo ważniejszy jest od Matki? Czy on się zasłużył? Członkiem?

Oprócz tego tą – po raz który już młodą – europejską tożsamością w ostatnich latach wręcz telepie z nadmiaru nowych treści i odczuć, z powodu kolejnej fermentacji nastrojów oraz idei. Czy Ona także jest nową odmianą patriotyzmu („my – Europejczycy, Europa – nasz wspólny dom”), czy odwrotnie, antypatriotyzmu – tego, który wyrasta ponad etnicznym, narodowym, ojczyźnianym, płciowym, tego, który niweluje, unifikuje wszystko w świecie globalizmu i uniwersalizmu. Ale czym naprawdę jest ta antypoda, ten antypatriotyzm – czyż właśnie nie patriotyzmem w jego najszerszym zakresie? Czy to nie on dyktuje potrzebę wyodrębnienia się i odgraniczenia? Mam na uwadze, przykładowo, te mury, jeszcze świeże od farby o *ochronnej* barwie – tam, zaraz za zachodnią granicą Ukrainy.



Tak oto znów wracamy do Ukrainy. Co tam się dziś dzieje z patriotyzmem? Jakie kolejne metamorfozy przechodzi, co może oznaczać? Być z władzą, ponieważ właśnie ona w swojej retoryce najczęściej odwołuje się do tego słowa (i nic dziwnego: „ostatnia przystań”)? Być przeciw władzy, ponieważ w istocie sama z siebie jest ona „nieukraińska” i wszystkimi swoimi uczynkami ten patriotyzm tylko rozmywa i dyskredytuje? Być „za Ukrainą w Europie”, ponieważ z dwojga złego lepiej wybrać to mniejsze, a niebycie w Europie wydaje się jak raz większym? Być „za Ukrainą z Rosją”, ponieważ ten cel jest znacznie bardziej realistyczny, a zatem bardziej zgodny z narodowym pragnieniem? Być „za Ukrainą bez europ i rosyj”, ponieważ naprawdę jesteśmy samowystarczalni, nasza kultura liczy nie mniej niż dziesięć tysięcy lat i mamy swój szczególny Szlak Ariów.

Madonna,
kadry z wideo
American Life
(s. 30, 33).
© madonna.com.

Jakim jeszcze należy być?

Za „Ukrainą od Sanu do Donu”, ponieważ „w jedności nasza siła”, czy za „Ukrainą regionów”, ponieważ „siła nasza w kultywowaniu różnorodności”? Za „Ukrainą z dyktaturą”, ponieważ tylko silna ręka potrafi uporać się z tym rozspieranym i kochającym pracę narodem? Za Ukrainą z rozwiniętym obywatelskim społeczeństwem, ponieważ to jedyny szlak do normalności? Za Ukrainą bez Kuczmy? Za Ukrainą bez Żydów i Moskali? Za Ukrainą bez narodowców? Bez Murzynów? Bez Ukraińców?

Ten ukraiński patriotyzm – to dziwna suma i mieszanina wzajemnie sprzecznych technologii i mitologii. Niekiedy wydaje się, że nawet nie sformułowaliśmy własnych odpowiedzi na tak beznadziejnie zestarzałe wezwania, że już je wyzwania mi nazywać chyba niezręcznie.

Ale czy tylko my?

W dużej skali patriotyzm jest amoralny. Jego miejsce jest chyba na piłkarskim stadionie – tam, gdzie całkiem wyraźnie i jednoznacznie, na poziomie koloru spodenek i koszulek, widać „naszych” i „innych”, i „nasi” obowiązkowo muszą zwyciężyć, a nawet są piękniejsi tylko dlatego, że „nasi”.

Największy grzech terrorystów 11 września być może leży nie w tym, że pociągnęli za sobą na śmierć tysiące nie gotowych na nią ludzi, ale w tym, że obudzili w Ameryce demona patriotyzmu. Jednym z pobocznych skutków owego przebudzenia, obok wojny w Iraku, okazał się wideoklip Madonny „American Life”, który tak znieścacka zaktywizował we mnie ten rudymmentarny, jak można by sądzić, organ, którym kocha się ojczyznę.

Tłumaczenie z języka ukraińskiego: **Bogusław Bakuła**

